



JAN FRYCZ (ur. 1954) w 1978 r. ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. W latach 1989-2006 był aktorem Starego Teatru, od 2006 r. w Teatrze Narodowym w Warszawie. Stworzył wybitne kreacje w spektaklach m.in. Krystiana Lupy, Jerzego Grzegorzewskiego, Mikołaja Grabowskiego czy Jerzego Jarockiego. Zagrał m.in. w filmach „Pożegnanie jesieni”, „Egoiści”, „PornoGRAFIA”, „Pręgi”



O GRANIU, WOLNOŚCI I NIEZALEŻNOŚCI

NA ROLĘ CZEKAM MNIEJ GORLIWIE

Bywa, że reżyser już na pierwszym spotkaniu mówi: „Kocham pana”. Proszę wtedy: „Tylko bez uniesień. Przejdźmy na ty i zrobmy ten film, a potem będziemy wyznawać sobie miłość” – **JAN FRYCZ** opowiada o roli w serialu „Ślepnąc od świateł”, córkach i modelarstwie

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE ALBERT ZAWADA

NEWSWEEK: Cynik i brutalny cham. Postać demoniczna, wychodząca bez szwanku z sytuacji bez wyjścia. Prywatnie ma pan coś z gangstera Daria?

JAN FRYCZ: Nie mam nic wspólnego z tym facetem.

To dlaczego pan to wziął?

– Bo w tej postaci jest pewna metafizyka. Dario do głównego bohatera zwraca się językiem niemal biblijnym: „Kuba, trzeba wejść w prawdę”. Kiedy gangsterzy z konkurencyjnej grupy trzymają go w samochodzie na muszce, powoduje wypadek. Tamci giną, on przeżywa, choć właściwie nie miał prawa. Można się zastanawiać, czy Dario w ogóle istnieje, może jest wytworem wyobraźni, a może jest wszędzie i wie wszystko.

Powiedziałem reżyserowi Krzysztofowi Skoniecznemu, że interesuje mnie w tej postaci jej sztuczność. Zaczęliśmy pracować nad frazą, sposobem mówienia. Wszystkie przekleństwa, wulgaryzmy potraktowałem jako melodię języka, a więc błyskotliwość i temperament Daria.

„O czym ty, Jacek, mówisz, kurwa, do mnie”. Albo: „To nie do mnie tak, do mnie nie”.

– Mówi się: bądź naturalny, graj rolę jakby od siebie. A tymczasem wszystko wokół nas jest sztuczne: polityka, internet, sztuka. Powiedzenie „bądź sobą” jest ryzykowne. Wszyscy coś gramy. Sobą jest pies, kot, wróbel albo krowa.

A dla mnie Dario jest facetem ze starego świata, gościem z zasadami. Tak jak pan.

– Nie zgadzam się. Nie klei się nam ta rozmowa. Nic z tego nie będzie.

Spróbujmy.

– Dario wychodzi po ośmiu latach z więzienia i widzi trzeźwo rzeczywistość, ma dystans. Przed laty byłem na spotkaniu z więźniami w zakładzie karnym o szczególnym rygorze. Osadzeni tam ludzie wiedzieli o mnie wszystko, mieli dużo czasu albo opiekun kazał im się przygotować. Nikt nie był tak dociekliwy ani tak dobrze przygotowany do rozmowy jak oni, a internetu wtedy nie było. Dario w więzieniu dobrze wiedział, co się dzieje na mieście...

Pan, stateczny krakus, zagrał w dwóch bardzo warszawskich filmach: „Egoistach” Mariusza Trelińskiego i „Ślepnąc od świateł” Krzysztofa Skoniecznego.

– Uwielbiam Warszawę, przyjechałem tutaj z Krakowa pod koniec lat 70., Adam Hanuszkiewicz zaprosił mnie do Teatru Narodowego. Była wspaniała grupa aktorów.

Stan wojenny wszystko zepsuł?

– Akurat skończyliśmy próby „Irydiona”, którego Jan Englert realizował dla Teatru Telewizji. Następnego dnia mieliśmy zacząć zdjęcia. W niedzielę 13 grudnia przed Hotelem

Europejskim zobaczyłem szereg chłopaków z ZOMO w hełmach z tarczami. Byłem na tyle ośmielony, że poszedłem w ich kierunku zobaczyć ich twarze. Usłyszałem komendę dowódcy: „Na obywatela marsz!”. Pomyślałem: „Akurat teraz, kiedy ja zaczynam?”.

Przez trzy lata mówiłem wiersze w kościołach i było to na swój sposób wspaniałe przeżycie. Odrzuciłem propozycję zagrania w superprodukcji o przyjaźni państw socjalistycznych. Powiem tylko, że film miał się kończyć wystrzeleniem wspólnego satelity w kosmos.

Wtedy spotkał pan Tadeusza Łomnickiego?

– To był dla mnie kiepski zawodowo okres. Z Teatru Narodowego wyrzucono Adama Hanuszkiewicza, a ja przeszedłem do Teatru Polskiego, prowadzonego przez Kazimierza Dejmka. U niego zagrałem Wacława w „Zemście”, Papkinem był Tadeusz Łomnicki. Pokazał mi, że każdy spektakl może być autentycznym doświadczeniem podróży, która zagarnia aktora w całość. Znalismy się z Tadeuszem od połowy lat 70., odwiedziłem go raz w Zakopanem. Był rektorem warszawskiej Szkoły Teatralnej, zasiadał w Komitecie Centralnym PZPR. Zapytałem go: „Jak tam jest? Co ty tam właściwie robisz?”.

„Janek, katakumby, katakumby...” – odpowiedział i zalał mi herbatę w torebce. „Poczekaj, niech naciągnie”. Nie wiedziałem, czy mam czekać na herbatę, czy coś opowie o tych katakumbach...

Czyli teatr.

– Od początku do końca. Tadeusz miał wspaniałe poczucie humoru na swój temat, ale też krył się za nim. Może tym humorem maskował swój strach. Kiedy mówił: „Wiesz, Jasiu, dzisiaj długo rozmawiałem z Edwardem [Gierkiem – red.] o Polsce”, to nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy robi sobie jaja.

Myślałem, że pokory się uczy od innych aktorów.

– Pewnych rzeczy nikt nas nie nauczy. Pokory uczymy się sami, zdobywamy ją w życiu przez własne doświadczenie. W moim zawodzie nigdy do końca nie wiadomo, jaki będzie ostateczny

efekt współpracy, zawsze jest ryzyko. Pracuję tak dobrze, jak potrafię, a i tak potem w montażu mogą zrobić z mojej postaci idiotę i nie mam na to wpływu. Brałem udział w różnych projektach, ale bywało i tak, że po pierwszym dniu pracy przychodziła myśl: „Cholera, w co ja wdepnąłem”. Nie sądziłem, że to będzie tak różne i tak odległe od scenariusza, ustalonej wcześniej koncepcji artystycznej. Jednak trudno, umowa podpisana i trzeba pracować.

I co wtedy?

– Moja żona Małgosia powiedziała mi kiedyś: „Taki masz zawód, skoro zmienić nic nie możesz, spróbuj to zaakceptować”.

Jesteśmy poddawani nieustannej ocenie. Istnieje według mnie wręcz przekonanie, że skoro teraz odniosłem sukces, zagrałem niezłą rolę, to następne będzie fiasko. Uważam jednak, że klęski uczą nas pokory tak jak w sporcie – jesteś takim zawodnikiem jak twój ostatni mecz.

Ale bywa, że w zespole jest dobrze.

– Wychowałem się w micie Starego Teatru w Krakowie, gdzie bardzo ważne było myślenie, że tworzy go zespół, drużyna, robimy coś razem. I do dzisiaj, jak jestem na scenie lub na planie filmowym, to wszyscy powinniśmy pracować na ten sam efekt końcowy. Dobry zespół wspiera się i daje siłę. W „Ślepnąc od świateł” była scena, w której samochód jechał przez dywan z liści i zostawiał widoczne ślady. Przed kolejnym dublem trzeba było je zamieść, żeby znowu układały się w jednolitą powierzchnię. Geromino, scenograf planowy, który to robił, machał miotłą z takim zaangażowaniem, że podszedłem do niego i powiedziałem: „Jak patrzę na ciebie, to aż mi się chce pracować”. To była zgrana ekipa!

Jest pan wybitnym aktorem. Dlaczego gra pan w tych komediach romantycznych, rozrywkowych filmach o niczym?

– To jest pana ocena. Jesteśmy ludźmi do wynajęcia, do wykonywania pewnych zadań. Aktor sam się nie obsadza, może tylko propozycję przyjąć lub odrzucić, a potem czekać na kolejny telefon. Czasem bardzo długo, a przecież pieniądze też są potrzebne, z czegoś trzeba żyć.

Bywa, że reżyser już na pierwszym spotkaniu mówi: „Kocham pana, jest pan aktorem stworzonym do tej roli, marzyłem, żeby z panem pracować, właściwie to dla pana napisałem ten scenariusz”.

Ja bym uciekł przed takim entuzjastą.

– Też się boję takich sytuacji. Proszę wtedy: tylko bez uniesień i pytam, co jest do zrobienia. Przejdźmy na ty i zrobmy ten film, a potem będziemy wyznawać sobie miłość. To uczciwe postawienie sprawy.

W czym najtrudniej się gra?

– W adaptacjach literackich arcydzieł. Z przeciętnej literatury może powstać bardzo dobry film czy spektakl. Jeśli natomiast reżyser bierze na warsztat genialne dzieło literackie, a ja mam rolę np. Iwana Karamazowa, to zadanie staje się naprawdę trudne.

Co napędzało pana jako aktora?

– Mędrcy, autorytety, fantastyczni teatralni rzemieślnicy, spotkania z nimi.

” **MÓWI SIĘ: BĄDŹ
NATURALNY, GRAJ ROLĘ
JAKBY OD SIEBIE.
TYMCZASEM WSZYSTKO
WOKÓŁ NAS JEST SZTUCZNE:
POLITYKA, INTERNET,
SZTUKA. WSZYSCY COŚ
GRAMY. SOBĄ JEST PIES, KOT,
WRÓBEL ALBO KROWA**

A co daje poczucie bezpieczeństwa?

– Mam oparcie w Małgosi, mojej żonie. Jest prawnikiem i nie uczestnicząc bezpośrednio w moich rozterkach artystycznych, bardzo mnie wspomaga. Dla aktora to bezcenne. Mam też pasje modelarskie.

Statki, samoloty?

– Interesuję się tym od dzieciństwa, od lat 60. Wtedy sam musiałem sobie stworzyć kolorowy świat.

Ojciec był technokratą, skończył Akademię Górniczo-Techniczną w Krakowie. Chodziliśmy razem do składnicy harcerskiej i kupowaliśmy zestawy modelarskie, lutowaliśmy radia, konstruowaliśmy wzmacniacze do gitar elektrycznych, czytaliśmy „Młodego Technika”.

Zaraz panu coś pokażę. (*Frycz wyjmując telefon i pokazuje zdjęcie modelu statku*). HMS Victory, żaglowy okręt liniowy brytyjskiej marynarki wojennej z XVIII wieku. Admirał Horatio Nelson brał na nim udział w bitwie pod Trafalgarem. Przy okazji konstrukcji wgłębiłem się w historię żeglarstwa. Wcześniej zbudowałem już kilka żaglowców, ten jest w skali 1:80, czyli ma około metra długości.

Długo pan go sklejał?

– Trzy-cztery lata. Myślę, by przekazać go Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy na aukcję w przyszłym roku. Może znajdzie

przyjazny port na czyimś biurku lub kominku. Składałem też samoloty, ale już takie, którymi można sterować i wykonywać ewolucje. Staram się zachować umiar w tym hobby. Byłem kiedyś na zawodach dla młodych modelarzy i obserwowałem dzieci ścigające się modelami samochodów. To wykraczało już poza zwykłą zabawę, zrobiła się z tego poważna rywalizacja. Niektórzy zawodnicy, aby zapewnić lepszą przyczepność swym autom, podgrzewali kółka. Największe emocje przeżywali ojcowie, traktowali wyczyny swoich pociech śmiertelnie poważnie.

Kiedy pan składa?

– Co pan się tak uczepił tych modeli? Wie pan, jaka to tragedia, kiedy samolocik się rozbije? Klęska, kilka dni temu to przeżyłem. Tak walnął o ziemię, że został tylko silniczek i aparatura do sterowania.

Co pan pomyślał, kiedy się dowiedział, że pana córki, Gabriela i Olga, chcą zostać aktorkami?

– Miałem kłopot. Wiedziałem, że nie potrafię im przekazać własnego doświadczenia i tego, co się wiąże z tym zawodem i że artystyczne uniesienia, jeżeli w ogóle będą, to rzadko. Zresztą one by nie uwierzyły. Jak mi dziekan aktorstwa mówił na studiach: „Panie Janie, Melpomena jest bardzo zazdrosną muzą, pana życie się zmieni” – to też mu nie wierzyłem. Często dzieci aktorów

dopiero w ostatniej chwili przed egzaminem do szkoły teatralnej mówią swoim rodzicom, że też chcą uprawiać ten zawód.

Pan się dziwi? Przecież wiedzą, że będziecie im odradzać.

– Oczywiście. Na początku kariery trzeba mieć dużo pychy i absolutną wiarę, że odniesiesz sukces. Bez tego w ogóle nie warto zaczynać, a dopiero potem są schody, dostajesz w dupę i orientujesz się, że to nie takie proste. Do tego trzeba dojść samemu.

Próbował pan zniechęcić córki?

– Dałem do zrozumienia, żeby robiły swoje, ja im w karierze nie pomogę. Czasem takim wsparciem można wyrządzić więcej krzywdy niż pożytku.

Olga radziła się, czy wziąć rolę u Jacka Borcucha we „Wszystko co kocham”?

– Nie. Dowiedziałem się o tym już w trakcie zdjęć. Wiem, że jest lubiana przez publiczność. Jak robię zakupy na placu w Krakowie, ludzie mnie zaczepiają: co z Olgą, dawno jej nie było widać w telewizji. Tłumaczę wtedy, że była w ciąży i zrobiła sobie przerwę.

Gabriela gra w Polskim w Poznaniu, Olga w filmach. Dumny jest pan z córek aktorek?

– Tak draży pan te tematy uczuciowe? Może czasami nawet i chciałbym powiedzieć ludziom: te moje córki to świetne aktorki. Są aktorzy, którzy tak mówią o swych dzieciach i ja to rozumiem, ale sam nie potrafię. Może mam to po ojcu.

Ojciec pana chwalił?

– Wychowałem się w mieszczańskim domu. Z jednej strony fortepian i książki, z drugiej ojciec inżynier górnictwa. Miał bardzo odpowiedzialne stanowisko, był też ratownikiem górniczym. Był świadkiem wielu tragedii. Jeździłem z nim na Śląsk, gdzie pracował, raz zabrał mnie nawet na dół.

Oszczędny w okazywaniu uczuć, wstrzemięźliwy, surowy, ale wspominam go dzisiaj z czułością. Sceptycznie podchodził do mego wyboru. Kiedy zdecydowałem się pójść do szkoły teatralnej, ojciec powiedział: „Do szkoły teatralnej możesz złożyć papiery, ale gdzie będziesz studiował?”. Chodziło mu o to, z czego utrzymam przyszłą rodzinę. Uważał, że aktorstwo to ulotne zajęcie i pieniędzy z tego nie ma, ale jak skończyłem studia, chodził na spektakle, w których występowałem. Chyba był dumny ze mnie, ale nie dawał tego do zrozumienia. Oceniał mnie surowo.

Jakiś przykład?

– Pan mnie ciśnie. No dobrze. Wziąłem udział w filmie „Wierne blizny”, który powstał w zespole filmowym Profil Bohdana Poręby. To historia dwóch przyjaciół, żołnierzy AK, z których jeden po wojnie został brutalnym ubekiem walczącym z podziemiem, a drugi wciąż walczył w lesie. Ja byłem tym ubekiem. Film w oczywisty sposób zakłamywał historię, na szczęście pokazywany był w telewizji podczas transmisji słynnego biegu Ireny Szewińskiej na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku, więc prawie nikt go nie oglądał. Ojciec jednak obejrzał i powiedział: „Synu, jeżeli kończyłeś szkołę teatralną, żeby grać w czymś takim, to są zmarnowane pieniądze” – i wyłączył telewizor.

Kiedyś powiedział pan, że aktor musi upaść. To, niestety, istota tego zawodu.

”

13 GRUDNIA

**ZOBACZYŁEM
CHŁOPAKÓW Z ZOMO
W HELMACH Z TARCZAMI.
USŁYSZAŁEM KOMENDĘ:
„NA OBYWATELA MARSZ!”.
POMYŚLAŁEM:
„AKURAT TERAZ,
KIEDY JA ZACZYNAM?”**

– To nie tak. Imponują mi ludzie, którzy potrafili podnieść się po upadku, depresji, chorobie, stracie, osamotnieniu. Przecież całe życie może się zmienić w ułamku sekundy, przeżyłem to.

Mówi pan o wypadku?

– Kilka lat temu wybuchła mi opona przy prędkości 120 km/h. Przekoziołkowałem autem na drugą stronę drogi. Na szczęście nikt nie jechał z przeciwka. Odzyskałem przytomność, wisząc głową w dół, na pasach bezpieczeństwa, dokładnie jak w filmie „Ślepnąc od świateł”. Nie mogłem się ruszać, nie wiedziałem, czy jestem cały. Szukałem, w tym wypadku jakiegoś sensu. Czy można go znaleźć?

O czym myśli aktor w takiej sytuacji?

– A dlaczego akurat aktor? Byłem ofiarą wypadku.

Jerzy Trela mówił mi, że aktor ma być zdrowy i ma wychodzić na scenę silny niezależnie od tego, czy ma zapalenie płuc, czy jąder. Widza nie obchodzi, co mu dolega. Pan też zastanawiał się, co z wieczornym spektaklem?

– Na szczęście to były wakacje i teatr nie grał. Pierwszą myślą było marzenie, że jak tylko wyjdę ze szpitala, to pojadę do ogrodu teścia i położę się na trawie pod ciężką od owoców gałęzią jabłoni. Spełniłem swoje marzenie i to sprawiło mi wtedy największą rozkosz.

Wkurza pana, jak ludzie narzekają, że aktorzy za dużo zarabiają?

– Żyjemy w czasach wolnego rynku i to dotyczy też kultury. Trzeba być wolnym i niezależnym.

Telefony dzwonią, propozycje płyną?

– Dzisiaj w kinie i teatrze jest wielu entuzjastów, a mniej rzemieślników. Dużo jest kuglarstwa, żonglowania sztuczkami, cytatami. Dawniej czekałem na propozycje. Dzisiaj też czekam, ale już nie tak gorliwie. Cieszę się każdym dniem, samo życie jest piękne. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl